ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 7 Marca 1914 roku № 10.

Andrzej Strug.

10

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

Powieść z obcego życia.

Twarz starego sługi znieruchomiała i uczyniła się ponurą, groźną Milczał. Wreszcie wydusił obcym głosem:

— Nieboszczyk pan zakazał mówić. To tajemnica.

— Co takiego?!

— Pan nie żyje. Panienka chora — nie pamięta. Ja jeden wiem. Słowo dałem. Nie powiem.

— Powiesz, stary, — rzekł w myśli Shurman z całą pewnością, ale narazie nie nastawał. Dziwił się tylko głośno, czynił najdziwniejsze przypuszczenia, a w głębi swojej istoty, tam w najszczerszym zakątku, gdzie tkwiły, jak cierń, wieczna tęsknota i wieczny żal za ukochanym bratem, poczuł nagły, ostry ból. Brat miał jednak przed nim tajemnice...

W każdym razie, sprawy stoją dobrze. Zostaja na cały miesiąc w górach. Brigs dotrzymuje słowa. Akcya posuwa się, nareszcie. Jakże długo stało wszystko na martwym punkcie!

Shurman stanął u okna i patrzył w góry, w dal. Na przeciwległem zboczu doliny, ponad lodowcem, wśród zmierzchu, na tle czarnych skał zabłysło nagle głębokie, niebieskie światełko.

— To ona... Patrzył przez chwile ponuro, śmiało, jak człowiek zdecydowany i niezłomny, patrzył, jak zbój.

Jenny lubowała się w niebieskiem świetle. Wieczorem pokoje jej tonęły w łagodnym, lazurowym odblasku. Sprzęty, dywany, kwiaty, wszystko stawało się senne, niepewne, tajemnicze.

W wielkim salonie, który zawsze stał pustka, w dwóch rogach paliły się wysokie lampy bronzowe o lazurowych kulach.

Panował tu jakby blady, poczynający się dzień, jakgdyby pierwsze odblaski wczesnego przedświtu sączyły się przez okna i wypierały ciemności wnętrza.

Połyskiwał niepewnie, niebieskawo marmur jakiegoś posążku, zagubionego wśród kwiatów, rysowały się ciężko i martwo szerokie złocone ramy, zamykające czarne płótno niewiadomego obrazu. Ciężkie kotary osłaniały okna, drzwi. Jedynem czemś wyraźniejszem w tym niebieskawym zmierzchu była czerwona łuna, idąca od głowni, żarzących się w głębi olbrzymiego komina.

Przyciszone i gasnące co chwila, by się ozwać znowu, tęskne, niepewne, bolesne dźwięki fortepianu błądziły w dziwnej komnacie, jakby im tu brakło powietrza i echa. Jakgdyby klawiszów dotykała ręka chorego, śmiertelnie wyczerpanego człowieka. Skarżył się ktoś słaby i nieszczęśliwy.

Jenny snuła się, jak widmo, po kobiercach. Stawała przed ogniem, przechadzała się, przystając co chwila i chwytając się za serce. Znikała w głębi olbrzymiego, staroświeckiego fotela i po chwili zrywała się, mocno, obiema rękami przyciskając pierś, szarpiącą się w niespokojnym oddechu.

Robert, niewidzialny o zmroku, w dalekim kącie salonu grał jakąś sonatę. Grał po swojemu, kapryśnie i nerwowo, kalecząc ducha utworu, wlewając weń całą gorycz i beznadzieję swojej zmęczonej duszy.

Błąkało się to łkanie melodyi po dziwnej, smętnej komnacie, pełnej niepokoju i dziwów. Nędza i pustka rozpaczy wyzierała z wymyślnego przepychu sprzętów, z bogactwa porozstawianych wszędzie kwiatów, z dzieł sztuki, z ciemnego stropu, gdzie tkwiły wielkie głowice siedmiu srebrnych gwoździ — znaku Wielkiej Niedźwiedzicy.

Robert miał nazajutrz nieodwołalnie wyjechać. Była już godzina spóźniona, należało wstać, pożegnać się i pójść. Nie mógł zdobyć się na to. Zwlekał, grał, czuł, że jest zbytecznym i uciążliwym, wiedział, że nie go tu już nie czeka, już o nic nie błagał, już od paru godzin nie przemówił ani słowa.

Złe przeczucie wyraźnie szeptało mu do ucha rzeczy straszliwe. Rychło ma się tu coś stać. Już się czai nieszczęście. Jego widmo przemyka się po mrocznych kątach, przepływa w powietrzu zimnem tchnieniem, ściele się pod powałą, jak dym, wyziewa z woni kwiatów.

Wszędzie strach!

Uderzy w okna wicher, od gór, zawyje w kominach. Stają wśród nocy potworne straszydła, martwe olbrzymy. Dyszą śmiertelnem zimnem, trwożą i tłoczą dusze ogromem swego ciężaru, chylą się i ważą na głowe człowieka. Mącą w myślach, przerażają.

Ze wszystkich stron szczyty obstąpiły dom i patrzą. Potargane, jak w szaleństwie, ich kształty. Sine śniegi piszą na nich ogromne znaki jakiegoś tajemniczego pisma.

Na dnie czeluści, pod wieczną grozą zmiażdżenia przez nawałę lodów i skał, w ponurej głębi, zawsze bez słońca, jak w zimnym grobie, stoi ten kruchy dom. Szczyty patrzą nań z wyżyn i szydzą.

A o jakiejś godzinie, sobie jednym tylko wiadomej, kiedy zechcą, za sto lat, a może lada chwila, natychmiast — o Boże...

Zewrze się ich kolisko i w szatańskim ryku i grzmocie tysiąca lawin, walących się turni, wśród deszczu kamieni—zagrzebią ten gmach i nędznych ludzi pod zwałem podruzgotanych skał, brył lodu, w topieli śnieżnej. Tylko wicher zawyje nad nimi.

Robert bał się. Strach jęczał mu w mózgu, jak dzwon. Bał się stąd odejść wśród nocy. Nigdy nie zdoła wyjść za próg. Góry będą się na niego waliły. Straszny, biały Matterhorn przechyli się i będzie weń godził dziobem. Będzie się nad nim

ważył i chwiał na tle morza gwiazd— wreszcie runie.

Oderwał palce od klawiszów i zasłonił sobie oczy. Urwały się dźwięki. Wycie wichru zapełniło mu zbolałą głowę. Co za męka...

— Robercie!

Jenny stała przy oknie i przez rozchyloną zasłonę patrzała ku górom. Całą jej postać oblewało światło księżyca.

Jej głos, jej postać ukochana wydarły go z otchłani. Ocknął się, jakgdyby go ktoś zbudził z okropnego snu.

Wstał i, chwiejąc się, szedł ku niej, zapatrzony. Nic nie widział, prócz niej jedynej. Ze snu przechodził w sen — z szaleństwa strachu w szaleństwo radości.

— Patrz, Robercie...

Ale on widział ją jedną na całym świecie. Osrebrzona światłem księżycowem, stała w fałdach ciemnej kotary. Zdawało się, że na jej postaci, jak w niepojętem, przyciągającem ognisku, skupiły się wszystkie promienie księżyca i wszystkie połyski od pól śniegowych, od lodowców, od gwiazd.

Dziwy były w jej oczach.

Robert rzucił się ku niej i, jak we śnie, jak do cudu, wyciągnął ramiona. Już wiedział, że nadeszła radość, o której nawet jeszcze nie zamarzył. W najgorszej, ostatniej rozpaczy przyszła ta chwila niepojęta...

Opasał ją ramieniem, przygarnął do siebie drżący, nieprzytomny ze szczęścia.

I skamieniał, spojrzawszy jej w oczy.

Straszne, dzikie, obłąkane. Twarz skażona skurczem szaleństwa. Nieludzki krzyk!

Jednem szarpnięciem wydarła mu się z objęć, jednym skokiem stanęła na środku pokoju, zachwiała się, padła.

Zanim Robert zdołał opanować się, uczynić jeden gest, jeden krok, mistress Brigs już była przy leżącej. Brutalnym gestem kazała mu odejść. Wyszedł, kotara zasunęła się za nim.

W przedpokoju zatrzymał się bezradnie. Znowu wydawało mu się, że to sen. Patrick w pełnej liberyi domu, czarnej z niebieskim, wstał z uszanowaniem ze swego fotela.

— Muły już gotowe, sir.

— Nie, Patrick, nie! Ja nic nie wiem. Co to się stało? Powiedz, człowieku, nie męcz mnie...

Stary zachmurzył się.

— To nic, sir Robercie. To przejdzie. — Nalał szklankę wody i podał. Robert wypił odruchowo i otrząsnął się. Zimny dreszcz przeszył go. Jak błyskawica, olśniła go świadomość i pamięć tego, co się stało. Cisnął o ziemię szklankę i pobiegł z powrotem przez jadalnię, przez mały gabinet do salonu.

Ale tu na progu spotkał mistress Brigs. Zatrzymała go w rozpędzie na miejscu, bez żadnej ceremonii ujawszy go za ramię z dziwną siłą.

— Poczekaj, pan.

— Co Jenny? Na miłosierdzie boskie...

— Nic jej nie będzie. Marguerite układała ją do snu. Do dyabła, nie pchaj-że się pan! I proszę za mną!

Prowadziła go przez obity niebieskim pluszem korytarzyk prosto do swego osobistego mieszkania.

— Sir Robercie! Bądźże dżentelmenem. Siadaj tu i uspokój się.

Podała mu wody mineralnej, do której coś dolała, kazała wypić, kazała zapalić papierosa i słuchać pilnie.

— Już dosyć namęczyłeś pan siebie, Jenny i mnie. Jedź pan z Bogiem. Jedź, rozerwij się gdzie, jeśli potrafisz, i czekaj cierpliwie. Jak będzie można znowu, dam ci znać. Teraz już jej nie zobaczysz. Za parę miesięcy — koło nowego roku, owszem. A teraz do widzenia. Muły czekają.

— Nie! — rzekła krótko, widząc jego błagalne spojrzenie. I wstała z miejsca.

— Mistress Brigs... Ty jesteś mądra kobieta...

— Wiem o tem, ale tu nie poradzi żadna mądrość. Tu tylko pan jeden może sobie poradzić, ale pan nie możesz, czy nie chcesz... Czy ci to raz mówiłam?

— Mistress Brigs, ja wiem! Ale to niepodobieństwo! Wszystko — ale nie to... Na Boga! Na samą myśl...

— A gdybyś jednak spróbował?

— To zginę.

— Zginąć ci nie dadzą. Jenny jest bardzo, bardzo dziwna. Znam ją lepiej od pana. Żyję z nią ciągle. I o ile tylko można wogóle wiedzieć, co się dzieje w tak skomplikowanej duszy, znam to ja jedna na całym świecie. I ja, kobieta mądra, za jaką mnie masz, powiadam ci jeszcze raz...

— Ach nie! nie!

— Wybacz pan, ale Jenny musi mieć przekonanie, że jesteś mężczyzną! Ona uwielbia odwagę. A przeklęty Matterhorn jest jej manią, zapewne nader poetyczną, i wierzaj mi, że jedynie za pośrednictwem takich natrętnych idei można opanować jej biedną duszę. Uczyń to, sir Robercie. Ja ci to radzę!

— To, co mi pani mówisz, jest straszne.

— Tę straszną rzecz robi tu po kilkudziesięciu ludzi w ciągu sezonu. Weź kilku najlepszych przewodników — na rękach cię wniosą. Włos ci z głowy nie spadnie! A jak Jenny się dowie — będziesz ją miał. Zrób swoje — ja ze swojej strony obiecuję ci też moją całą pomoc. Jenny — to cudne, urocze dziecko, bez siły, bez własnej woli. Wiem, że cię kocha — ale u niej to jeszcze nic. Musisz ją jeszcze wziąć.

— Matterhorn! Matterhorn! Cóż za piekło wydało tego potwora...

— Najpiękniejszy szczyt na świecie — szydziła mistress Brigs.

— Boję się na niego spojrzeć, a mam się wdrapać aż na sam wierzchołek... Ha, ha, ha!...

— Ależ ja jestem chory, kaleka! Każ pani kulawemu tańczyć!

— Musisz!

— Ślepy prędzej by wszedł odemnie.

— Zawiąż sobie oczy. Będą cię prowadzić za ręce, wciągną cię na linach!

— Skoczę w przepaść...

— A wiesz co, sir Robercie — rzekła przyciszonym głosem mistress Briggs, uśmiechając się nieznacznie a zjadliwie: — oszukajmy biedną Jenny. Idź na włoską stronę, a jeżeli już zupełnie nie możesz, nawet przez przełęcz, przez która chodzą dzieci, to objedź wokoło koleją. Posiedź parę dni w jakim hotelu w Val Tournanche, a tymczasem każ przewodnikowi zapisać swoje nazwisko w księdze pamiątkowej na szczycie, zapłać mu tak, żeby się zdumiał, a przysięgnie nawet przed sądem, wrazie potrzeby, żeś tam był. Niejeden z rekordmenów-klubistów w taki sam sposób czynił swoje wejście na Matterhorn.

— Oszukać Jenny?!

— Tak się robi z dziećmi. Nie ja oszukamy, ale jej nieszczęsną, chorą manię... Zrób to...

— Może to byłoby rozsądne. Ale ja uważam to za podłość. Nigdy.

— Niestety, wiedziałam o tem. Uważałam jednak za swój obowiązek uczynić ci tę propozycyę.

— Bardzo źle pani uczyniła! Tego z Jenny nie wolno!

— A więc pójdziesz pan?

I wparła w niego ciężkie, nakazujące spojrzenie. Z jej czarnych oczu, z pod gęstych, czarnych brwi szła ku niemu jakaś nieznana, zła, ponura siła.

Wił się, a oczu oderwać nie mógł. Czuł, jak rodzi się w nim nowa, śmiertelna żądza. Czuł rozkosz swego strachu i poniżenia. Zapragnął udręczenia i męki. Wydało mu się na mgnienie oka, że jest szczęśliwy — a nie wie o tem. Usypiał i budził się w jednej chwili. Przelatywały, jak z wichrem, jakieś myśli cudze. Coś, jak młotem, wbijało mu w głowę jakąś rozpaczliwą chęć, która nie była jego wolą.

Wreszcie wstał i rzekł głosem nieco sennym, lecz spokojnym i naturalnym.

— Cóż, trudno. Trzeba to uczynić. Jak niema innej rady? Spróbuję! Kto wie, może to rzeczywiście głupstwo?... Zapewne, że tak jest.

— No, to dobrze! Wszystko będzie dobrze.

Kiedy wyszedł, mistress Brigs zasiadła do pasyansa i późno w noc z całkowitem skupieniem rozkładała i dobierała karty. Był to jej odpoczynek w bardziej wyczerpujących przejściach i kłopotach.

DCN.

Ludwik Hieronim Morstin.

Poemat dramatyczny w 5-ciu aktach i 6-ciu obrazach.

Legenda o królu.

3

SCENA 14.

(Opat, który stał w drzwiach, w cieniu, i śledził ich kroki, cofnął się nagle, po chwili dłuższej wraca, ciągnąc Strzemiona za rękę).

OPAT.
Jest u twojej siostry kochanek.
STRZEMION.
Na Boga!
OPAT.
Skorzystał z gościny,
a który na mnichów nastawa
i księdza pogardza sukienką,
to później się bawi panienką,
a wchodzi z nim razem niesława
w dom, który ugaszcza go winem,
królewski wysłannik, ksiądz Święcki.
Nas, mnichów, spotwarzył złym czynem,
jakgdybym był Krzyżak niemiecki,
lub knecht na usługach zakonu.
STRZEMION.
Co robić?
OPAT.
Ha, mieczem zadzwonić.
STRZEMION.
I zabić?
OPAT.
Nie — wyzwać czci bronić.
STRZEMION.
W gościnie?
OPAT.
Czyn grzeszny.
STRZEMION.
Gość w domu
i siostra, co z hańbą zostanie.
OPAT.
Więc lepiej niech pokryjomu
śpi z gachem.
STRZEMION.
Ślub święty złamała.
OPAT.
Rozgrzeszę.
STRZEMION.
Mam wyzwać? Zabiję —
on, króla powiernik jest pono.
I siostrę, i ród twój shańbiono
pod króla osoby osłoną.
Nie pomścisz? Czy tchórzysz?
STRZEMION.
Czy tchórzę?
Hej! światło! Niech wniosą w podwórze!
(Wnoszą pochodnie).
(Woła)
Wnet gacha z komory wywabię.
Słysz, mieczem uderzam trzy razy.

SCENA 15.

(Olbracht wychodzi z drzwi i rękę do oczu podnosi).

OLBRACHT.
Kto zdradził?
STRZEMION.
Imajcie się korda,
rozkoszne przerwałem wam sny!
OLBRACHT.
Kto śledził me kroki?
OPAT *(wysuwając się).*
Ja!
OLBRACHT *(spojrzał mu w oczy).*
Ty?
(Opat się cofnął).
STRZEMION.
Giermkowie odmierzą nam pole
Czy stajesz?
OLBRACHT.
Tu zaraz nie mogę
Lecz jutro...
STRZEMION.
Ruszycie znów w drogę,
za królów wy druha nie macie,
lecz chyba to fałsz, boć są wieści
że serce jest lwie w majestacie,
a miałżeby pan nasz na względzie
rycerzy, co drżą przed spotkaniem.
(porwał się do miecza).
OLBRACHT *(porwał się do miecza).*
A wzdyć wam i stanę — niech będzie!
STRZEMION.
Patrz, książę, bo dziś przed świtaniem
mszę musisz odśpiewać za duszę.

SCENA 16.

(Krysta wbiega i rozdziela stających do walki).

KRYSTA *(do brata).*
Stój zbóju krwawy,
to pan mój i kochanek.
Zachciało ci się sławy,
więc mój dziewiczy wianek
na ostrze nadziałeś miecza,
żeś umiłował głuszę,
że żyjesz sam wśród cieni.
Z morderczem precz żelazem,
chcę żyć! chcę żyć! z nim razem pójdę,
na krańce pójdę świata.
. . . . . .
Wyzywam blade cienie,
co błądzą w tej pustoszy
i kradną blask wesoły
żywota, wiosny, słońca,
przeklinam, klnę popioły
chcę żyć! chcę żyć!
i rozkosz pić,
biesiadne wieńczyć stoły.
STRZEMION.
Bezbożna, milcz.
KRYSTA.
Nie zmilczę,
ty serce w piersiach masz wilcze,
wdychasz trupie powietrze
i ojcom znosisz obiaty,
a w grzędzie powiędły kwiaty,
a pąki czas niszczy młode,
Lecz on jak królewicz jaki
wniósł słońce w moją zagrodę.
Klnę śmierć, a chcę żywota,
włosami drogę uścielę,
wesele wniósł mi, wesele!
a była jedna tęsknota.
(Słychać tętent koni i gwar rozmów).
(Za sceną).
OPAT.
Cóż tam za gwar?
STRZEMION.
Szumią wody.
OPAT.
Koń tętni, jedzie drużyna.
STRZEMION.
Biją kopyta o skałę,
mosty już dudnią i wzwody.
OLBRACHT.
Na rogach dują.
STRZEMION.
Rycerni.
W licznym tu jadą orszaku.
OLBRACHT.
Poznaję dwór mój po znaku
szukają mnie moi wierni.

SCENA 17.

(Wchodzi dwór króla Olbrachta).

DWORZANIN I *(do Strzemiona).*
Czy wyście panem kasztelu?
STRZEMION.
Jam ci jest.
DWORZANIN I.
Mówcie nam przeto.
DWORZANIN II.
Pójrz na rycerza z kobietą,
tego, co w świetle pochodni.
DWORZANIN I *(klęka).*
Wasza Miłość!
STRZEMION.
Co to znaczy?
OLBRACHT.
Jam tu zawitał przed chwilą.
OPAT.
Pójrz, ławą do kolan się chylą.
KRYSTA.
Jak pana witają, jak własta.
DWORZANIN I.
Ten ksiądz któż jest i niewiasta?
STRZEMION.
A któż jest ten, kogo witacie?
DWORZANIN II.
Głowę skłoń, gdyż w majestacie
Król nasz chciał wstąpić w te progi.
STRZEMION.
Bóg miłosierny.
KRYSTA.
Maryo!
OPAT.
A niechże pioruny mnie biją,
trza w nogi. *(ucieka).*
(Wchodzi Jaszko i poziera zdziwiony).
STRZEMION.
Żalim mógł poznać rzeczy nie przejrzane,
ja rycerz ubogi,
zali mi w gwiazdach było to pisane
na Pana podnieść dłoń.
Gdy każesz miecz ten samy
utopię w wnątrzu łona.
Słuchajcie mnie dworzany,
zawitał gość do bramy,
w podróżny strój przybrany
i zadął sam na rogu,
czym go rozeznać mógł
od progu,
kto zacz? czym myśleć mógł,
że przyjdzie tak pokryjomu,
że z królem mym i panem
obcować mam w tym domu.

OLBRACHT.
Więc zbyć frasunków chciej, dziękuję za gościnę,
odwdzięczyć pragnę się najrychlej tam, w Krakowie,
my odpuszczamy wam łaskawie tę przewinę. —
Konia mi dajcie wraz, niech zejdą się giermkowie,
ruszymy w drogę dziś.—Tu niespokojne noce
spędzają z czoła sen,
(Do Krysty).
Czekamy was w stolicy,
miast umarłego czcić, żywego raczej króla
zechcijcie wdziękiem swym obdarzać i urodą,
nałożę wieniec z róż i wyjdę na spotkanie,
gdy bogi krasę twą do progów mych zawiodą,
żegnaj mi dzisiaj ty...
(Do Strzemiona).
I wy żegnajcie, panie.
(Wychodzi, za nim dwór).

SCENA 18.

STRZEMION.
Za mało wiele dni ukażesz się na dworze.
KRYSTA.
I będę z królem swym dzieliła stół i łoże.
STRZEMION.
I będziesz wieńce wić przed wejściem do łożnicy.
KRYSTA.
I będę wstyd mój nieść w obliczu wszej stolicy.
STRZEMION.
Poświęciłem cię duchom i sprawie
a tyś złamała ślub, chcąc swój wianek
rzucić pod nogi przechodnia,
aleć Bóg chciał, że zbrodnia
zmieni się w czyn, więc nie winię —
Wżdy służyć mi musisz, jako naczynię
zamysłów szczytnych, bo ja memu panu
chcę włożyć w rękę miecz, na piersi zbroję
i chcę, by pomścił śmierć tego z pod Warny
i chcę, by Polska z granic Europy
rzuciła pogan przecz do Czarnomorza,
starła pohańca łeb dotknięciem stopy,—
Chcę, iżby była, jak córa Boża,
idąca aże tam, do bram Jerozolimy
w zwycięskim walk pochodzie
bo zali nie jest w naszym narodzie
archanielska moc zaklęta,
klęcząca u stóp tronu?
Wszak wszyscy możemy być, jak ci rycerze,
co to ich Godfryd z Bulionu
wiódł na święty bój,
jeno trza mu serce rozdmuchać
do czynu.
miłowaniem ty, ja dźwiękiem oręża,
tam za wrotami kasztelu. —
(podając jej dłoń).
Przymierze niewiasty i męża.
KRYSTA.
U świętych bram, na Wawelu. —

(Koniec aktu pierwszego).

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

10

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XX.

Siedziałam w moim pokoju, pisząc do Wielebnej Matki, gdy usłyszałam trąbkę i, podniósłszy oczy, zobaczyłam wjeżdżający na podjazd samochód. Siedziało w nim trzech panów, z których jeden w okularach od kurzu i z popielatym jamnikiem na kolanach.

Wnet potem wezwano mnie na dół. Zeszłam z bijącem sercem i otworzywszy drzwi od saloniku, zobaczyłam po raz pierwszy mego przyszłego męża.

Stał przed kominkiem, rozmawiając z Betsy, która śmiała się niepomiernie. Powierzchowność jego nie obudziła we mnie najlżejszego wspomnienia.

Był bardzo elegancko ubrany i posiadał pewną dystynkcyę w układzie, ale nawet moje niedoświadczone, dziecięce oczy odgadły w nim człowieka zmęczonego i przeżytego.

Twarz miał bladą, jakby nalaną, oczy przygasłe i ociężałe, włosy mocno nad czołem przerzedzone i wogóle wydawał się znacznie starszym, niż był, wiedziałam bowiem, że ma trzydzieści trzy lata.

Betsy z wielkim ferworem zaczęła nas przedstawiać; on jednak z pewną niedbałą żartobliwością przerwał jej, mówiąc, że to zbyteczne, poznaliśmy się już bowiem przed dziesięcioma laty, kiedy to byłam śliczniutką, choć niezbyt uprzejmą panienką.

— Mieliśmy mały zatarg na punkcie pocałunków; pamięta pani?

Na szczęście, ojciec wybawił mnie od odpowiedzi, oświadczając, że pragnie pokazać jego lordowskiej mości ulepszenia, jakie zaprowadził, poszliśmy je więc wszyscy oglądać.

Ulepszenia te polegały na przybudowaniu nowego skrzydła, w którem mieściła się sala jadalna, jeszcze nie urządzona, a skopiowana, jak się później przekonałam, z takiejże sali na zamku Raa.

Z głową dumnie wzniesioną ojciec pokazywał piękności nowej instalacyi, podczas, gdy mój przyszły mąż spoglądał na nie przez monokl z wyrazem wzgardliwej pobłażliwości.

— Dąb, tylko sam dąb — rzekł ojciec, uderzając ręką w wysokie ciemne boazerye.

— Tak stary, jak nasze serca, i zapewne tak twardy, jak nasze głowy — rzekł lord Raa.

— Twardszy od niejednych, milordzie — odparł mój ojciec.

— Właśnie — rzekł Lord Raa przeciągle, aż wszyscy się zaśmieli.

Zadzwoniono na lunch; przeszliśmy więc do starej, skromnej jadalni, gdzie ciotka Brygida posadziła Lorda Raa na honorowem miejscu, po swojej prawicy, i zaczęła mu opowiadać o zmarłym mężu pułkowniku i jego wojskowych zaszczytach.

Siedząc obok mego narzeczonego, zauważyłam, iż wszystko to nudziło go niepomiernie; jak również wyczułam w jego odpowiedziach nieujęty odcień cynizmu i lekceważenia, na czem ciotka nie poznawała się zgoła.

Zauważyła natomiast moje milczenie i rzekła:

— Mary, kochanie, dlaczego nic nie mówisz?

I nie czekając na odpowiedź, zaczęła tłomaczyć jego lordowskiej mości, że zmieniłam się do niepoznania, gdyż jako dziecko byłam najrezolutniejszą pod słońcem paplą, kiedy teraz było niepodobieństwem słowo ze mnie wydobyć.

— Tuszę sobie, że uda mi się wkońcu wydobyć z niej jakieś słowo — rzekł Lord Raa, na co ciotka Brygida uśmiechnęła się znacząco, a Betsy parsknęła głośnym śmiechem.

Natychmiast po śniadaniu ojciec z prawnikami przeszli do gabinetu, ciotka i Betsy usunęły się dyskretnie; zostaliśmi sami. Jego lordowska mość odetchnął głęboko w taki sposób, że to zakrawało na ziewnięcie, i rzekł:

— Niema tu jednego spokojnego kąta, gdziebyśmy mogli się wymknąć?

Przypomniałam sobie małą dolinkę za domem i poprowadziłam go tam. Był jasny, październikowy dzień; cicha, jesienna słodycz unosiła się w powietrzu.

Lord Raa zapalił cygaro i czas jakiś szedł obok mnie w milczeniu, ale już w pół drogi zaczął spoglądać na mnie z ukosa przez monokl i mówić o mojem życiu w klasztorze i o tem, że słyszał, jakobym miała chęć pozostać tam nazawsze.

— Nadzwyczajne! Na honor, nadzwyczajne! Rozumiem, dla kobiet, którym się w życiu nie powiodło, lub które już skończyły swoje rachunki ze światem; ale żeby młoda panna ładna i z majątkiem... hm! to niepojęte.

Milczałam, a on w dalszym ciągu opowiadał mi, jak mu zbrzydło życie nawet w Londynie, pomimo klubów, wyścigów, teatrów i rozrywek, jakich zaznać można w towarzystwie kobiet ze świata, nie mówiąc już o znanych, zawodowych pięknościach.

Jeden z jego najlepszych przyjaciół, nazwiskiem Eastcliff, żeni się właśnie z „taką“ (cudzoziemską tancerką z „Empiru“), ale, czemu nie — skoro jest bogaty i może robić, co mu się podoba.

W dolince stała drewniana ła-